

Adnowicki Marzko legionista

A. ODNOWICZ (Legionista).

MOSZKO LEGIONISTA (POLSCY BOHATERZY)



81

2

1

POLSCY BOHATERZY

NAPISAŁ

A. ODNOWICZ

(legionista)

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-200 Warszawa, ul. Mary Szolc 27
Tel., 20-68-63



KRAKÓW 1917.

DRUKARNIA W. POTURALSKEGO KRAKÓW-PODGÓRZE

<http://rcin.org.pl>



22.366

NAKŁADEM HELENY POTURALSKIEJ KRAKÓW-PODGÓRZE.

<http://rcin.org.pl>

„Moszko legionista.“

NOWELKA

Wisło! Nie Polak z ciebie wodę pije!
Jego się nawet zacierają ślady,
On dziś przed swoim imieniem się kryje,
Ktore tak możne wstawiły pradziady...
Już białym orłom i bratniej pogoni
Świat się, przed laty nawykły, nie skłoni!...

Zdała od wsi stała pod lasem karczma Moszkowa.
Był to wieczór sobotni.

Umilkł już las, w gąszcze najgłębsze skryli się
jego poeci i słycać tylko po krzakach, po gniazdach
ciche wołania fruwanja, pogwizdy podobne do jęków.
I te ustały.

Terror nakrył wierzchołek lasu, jak wieko trumnę
Tylko wrony nie przestają wrzeszczeć, owszem coraz
szerzej otwierają swe dzioby, rozdziawione, przerażone.
ale zarazem zdjęte gniewem, od którego pierze jeży
się im na grzbietach, a skrzydła drgają, łapoczą, jak
sztandary rozwijane. Nie chowają się wcale; na drze-
wach siedzą, złe, napuszone, albo krążą koło swych
gniazd, pisklęta piszczą żałośnie wołając na swych
ojców pokarmu, matka rozstawia przed niemi skrzydła,
jak parawany. Może myśli że swem wrzaskiem odstra-
szy tyrana lasu.. płonne nadzieje!...

Księżyc zawisł już dawno na choryzonce, niby złoto-srebrna tarcza tysiącami promieni siejąca.

W ten to wieczór tak piękny i pogodny, przechadzał się Moszko po karczmie, skończywszy już modlitwy szabasowe. Coś go bardzo niecierpliwiło tylko od czasu do czasu przytupywał nogą o podłogę. Był zupełnie bez humoru, cierpliwość jego już się wyczerpała. Czekał na kogoś, a ten nie przychodził i to go bardzo niespokoiło. Nie mógł się doczekać.

W karczmie była obszerna izba. a w niej szyn kwas, za którym wysoka szafa z półkami i różnymi przegrodami sięgająca aż pod sufit. Na półkach stało — mnóstwo różno-krształnych flaszek, bardzo okurzonych, co świadczy jak utrzymuje gospodyni porządek. Nie brakowało tu też beczek, próżnych i pełnych. Z boku stał stół, obok niego zniszczone stołki, pod ścianami stały w około zwykłe nie ochybłowane szorstkie ławy. Za szynkwasem siedziała gruba, opasła kobieta, podobna do niektórych dużych beczek, niska, a gruba, a głowa jakby wielką głowę kapusty przyczepiono do niskiej beczki i z dołu podpartej niskimi drążkami, — a z boku zwisały ręce grube, jak wałki do rozcierania ciasta. Była to żydówka, żona Moszkowa imieniem Rywcia.

— Zdaje się że dziś już nie przyjdą Rywci. Zagadnął żyd milcząca

— Tem lepiej dla nas. — Przerwała gwałtownie żydówka, zrywając się z siedzenia, wzruszywszy ramionami.

Moszko napił się szabasówki, ze złości przytupnąwszy nogą o podłogę.

— Kobieto co ty mówisz?...

Żydówka wyprostowawszy się podparła sobie boki.

— Mówię co wiem, nasza rzecz handel i interes, jak karczma nie bedziesz pilnował, to zejdziemy na dziadów. Gorzej jeszcze, ja to dawno już zauważyłam, że sprawnik i żandarmi to dawno ciebie mają na oko... poco ty się zadajesz z temi legionisty?... Czy to nasz interes? Czy to nasza Polska?... Co to nas obchodzi?... My to mamy patrzeć i tak robić co nam dobrze będzie. Katoliki niech idą na wojna i niech się biją...

— Kobieto uważaj co mówisz!... nie wyrażaj się z takim słowem!...

Krzyknął rozgniewany żyd.

— No co, albo ten ksiądz, co to za ksiądz?, który po lasach się rozbija?... Na co to jest?...

Wygadywała żydówka.

— Kobieto!... wara ci od księdza i wara ci mówić o księdzu. Ten nasz ksiądz; to jest człowiek święty, bo ten nasz ksiądz to on lepszy, aniżeli nasz rabin, ja byłem ślepy, a teraz przejrzałem dzięki temu księdzu, wiem że ja syn tej ziemi. Ona potrzebuje pomoc tak jak mogę taką Jej daję, ten ksiądz, ten ksiądz to on może lepszy od nasz dziedzic, który w mieście siedzi i zapija się z oficerami od moskali on wszystko przepije i niebędzie mieć nic...

— To jest prawda że on

.

.

...
 ...
 ... ty mówisz, ale sam nie wiesz co, to co ci
 powiedziałam teraz, to jest święta prawda, to tak
 będzie z Polską ziemią, inny da za nią pieniędzy... i bę-
 dzie ją mieć ty mówisz, ale nic nie wiesz co... boś jest
 pijany!... idź spać...

Wygadywała buklasta żydówka.

— Tak jest, ale to przejdzie, tyś zaś głupkowata
 i to już pozostanie.

Przychwalał jej żyd.

Na dworze było cicho, spokojnie tylko ciepły
 wietrzyk powiewał lekko i miłutko gładził gałęzie drzew.
 Wszystko ucichło snem nocnym. Tylko jeszcze co
 chwilę przelatywał szybko ptak nocny, goniąc za
 muszkami.

Niebo było pokryte milionami gwiazd patrząc na
 nie wydawało się oku ludzkiemu, gdyby niewidzialna
 ręka rozciągnęła nad ziemią płaszcz niebieski, taki
 śliczny i miły ludzkiemu oku, z gwiazdami na tle, niby
 tkany w brylanty migocące.

Księżyc uśmiechał się oświecając silnie i pięknie
 ziemię dodając jej większego blasku.

Zawsze tak pięknie i miło na naszej ziemi choć
 tyle nieszczęść na nią spada, gdyż teraz niema chwili
 by jakie nowe nieszczęście nie spadło

Gdzieś w dali dał się słyszeć tętent kopyt końskich... ktoś jechał w stronę karczmy.

Jakiś jeździec nieznajomy, jadąc od lasu, tak szybko co tylko koń skoczy, a czem bliżej był karczmy zwalniał w biegu, i już był na podwórzu karczmy.

Moszko posłyszawszy ciężkie stąpanie konia, zrazu zmieszał się myśląc że to Moskale gdyż wiedział że nikt z legionistów bo oni przychodzili do niego zawsze pieszo, dlatego aby ich nie odkryto gdzie obozują.

Po chwili zapukał nieznajomy w okno, widocznie najpierw zaglądał dla pewności kto jest w karczmie, czy się czuje dosyć bezpiecznym.

— Kto tam? .. zapytał wystraszony żyd.

— Proszę otworzyć, odpowiedział znajomy mu już głos.

Żyd ucieszył się bardzo, gdyż myślał że to Moskał, a tym nieznajomym był piękny młodzieniec, młody kwiat polskiej ziemi.

Moszko zaglądnawszy do okna, gdyż jeszcze nie wierzył swym uszom, czy się też przypadkowo nie zmylił, jak zawsze ostrożny żyd, ale przekonał się że się wcale nie zmylił, bo owym nieznajomym był legionista, w jednej chwili skoczył do drzwi i otworzył.

Do wnętrza karczmy wszedł rostry, silnej budowy mężczyzna w mundurze legionisty, po stronie lewej zwiślała mu torebka z rewolwerem, na głowie zniszczona, wyrudziła tak zwana „maciejówka,“ a na niej, jakby na straży śliczny ptak, z rozwiniętymi skrzydłami gotowy do lotu . . . tylko ciężą, mu jeszcze
to dla nas Ta pika na głowie

— Bóg z wami obywatelu!... tak powitał żyda.

— Aj waj!... a skąd-dokąd Pan Bóg prowadzi?... zapytał uradowany Moszko, ledwie że ze skóry nie wyskoczył z radości, że nareszcie przyszedł oczekiwany

— Przyszedłem tu specjalnie, przynoszę wam pozdrowienie od księdza.

— Pamięta o mnie ksiądz?...

— Pamięta i zawsze mile wspomina, powiada że takiego żyda, jakim wy jesteście to nie prędko znajdzie jeszcze teraz w tych czasach wojennych i tak srogich dla każdego Polaka, co nas tak Moskale prześladowają chcą zgnać nas do reszty, ale my się im nie damy, bo mamy jeszcze siłę, pokonać wroga — musimy... nie damy zginąć naszej drogiej Ojczyźnie, będziemy ją ratować i bronić... do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchnienia .. dopóki w naszych żyłach polska krew płynie... nie damy jej szarpać

Mam wam powiedzieć że udało się nam wyrzucić moskali z sąsiednich wiosek i tu jesteśmy już całkiem bezpieczni dlatego przyjechałem na koniu.

Wczorajsza patrol przyprowadziła dwónastu moskali szeregowców i jednego podoficera, i co tylko mieli przynieśli z sobą. Naszych było tylko coś pięciu, czy sześciu, oni w lesie gdzieś obozowali sobie a nasi okrążyli w około, kiedy moskale spali między niemi był jeden polak i on wszystko nam opowiedział gdzie się moskale znajdują, jak się go nasz pułkownik... zapytał i kazał mu pokazać na mapie gdzie się znajduje sztab moskiewski, pokazał dobrze, to było dowodem, bo

kiedy w oznaczony punkt przez niego kazał nasz pułkownik... wystrzelić armatnio, wnet caczęli się cofać moskale i zamięszanie straszne powstało. Później od jeńców dowiedzieliśmy się że ten strzał był tak celnem, że trafiliśmy do samego sztabu a obok niego siedzących oficerów rozszarpał na miazgę. W ten czas padł komendant sztabu sześciu kapitanów i dużo innych oficerów rangą niższych.

Z tego opowiadania cieszył się bardzo Moszko.

— To wam teraz dobrze?...

— Dobrze!... Acha, jeszcze zapomniałem wam powiedzieć, że ksiądz zasyła wam podziękowanie za ostatnią baryłeczkę i prowianty, któreście nam dali kiedy brakło nam naszych.

— Może się co napije pan legionista?

Może wódka dobry?.. może moi szabasówka skosztuje?

Moszko nie czekał odpowiedzi, lecz szybko nalal mu wódki do kieliszka i kazał pić, następnie dał chleba z masłem i kawałek sera, jako przekąskę.

— Na, proszę jeść! .. nalegał żyd.

— Dziękuję wam pocziwy Moszku, że tak uprzejmie mnie gościcie u siebie.

Legionista wypił nalaną mu wódkę, była to najlepsza nalewka, zjadł przekąskę i podziękował.

— No ja tu sobie za długo siedzę, rozgadałem się, jak jaka stara baba, a tu trzeba się spieszyć, gdyż jutro o świcie odchodzimy z tych stron. Idziemy dalej. Mamy wzmocnić któreś skrzydło bojowe.

— Tak?... już go stąd odchodzicie? Aj waj!... to

bardzo wielki szkoda, no ale trudno lepiej że naprzód jak w tył.

— Tak, tak ruszamy dalej... i coraz dalej...

— Czy nie wiadomo jak daleko?...

— Zdaje się, że nie daleko, bo podobno, jak ja słyszałem, że do trzeciej czy też do czwartej wsi. Tu jeszcze z nas ktoś zagładnie, o was nie zapomnimy Dowidzenia.

Dowidzenia .. tylko proszę pamiętać.. prosił żyd, aby zagładnęli jeszcze do niego.

Legionista wychodząc zawołał za sobą Moszka, widocznie miał mu coś powiedzieć. Na korytarzu rozmawiali szeptem długą chwilę widocznie mieli jakąś tajemną naradę, gdyż nie mogli mówić swobodnie w izbie, więc rozmawiali sobie w sieni.

Po tej tajemnej naradzie pożegnali się i legionista do swoich, a Moszko wrócił z temi słowy do swojej Rywci...

— No Rywci, ubieraj się i idź na wsi, ale prędko! już! słyszysz?... rozkazał żyd.

Żydówka przełęczniona zaczęła się krzywić.

— Aj waj!... gdzie go ja mam iść teraz? Lamentowała puklasta żydówka, wyglądając na podwórze przez okno.

— Aj waj, jak go ja mam iść, noc na pole, i tak bardzo ciemno. tak aż czarno na pole, ja to się boję. ja sama nie mogę iść.

— Mnie to nic nie obchodzi, ja ci go mówię że — masz iść ty tu teraz nie możesz zostać, ja ci każę iść na wsi, to ty nie masz nic do gadania tylko

masz iść i słuchać mnie. Ty musisz iść zobaczyć, gdzie moskale, jak dużo ich, gdzie jest, co bedom zrobić?... rozumisz?

Krzyknął rozkazująco żyd.

— No, ja go już pójdzie, ale jak mi się co stanie, to ja go będę mówić coś ty temu winien, ja ci to tak mówię pamiętaj!.. jak mi co kto będzie niedobre zrobić, jeszcze teraz co moskale taki nie dobry i dotego pijany.

Tak szlochając ubrała się i poszła.

Moszko został sam.

— Ny, chwała Bogu, przecie poszła, będzie choć na chwila spokój wciąż coś mruczy. wciąż coś stęka nieda spokój. Niech choć tyle robi, zobaczy gdzie są moskale.

Noc była ciemna, ołowiane chmury zakryły purpurowy płaszcz, jednak było cicho, słyszeć było nawet szum płynącego w pobliżu strumyka, jak brylantowe krople wody spadały po perłowych kamyczkach, zdawało się że wszystko co żyje już dawno wymarło, gdyż było już bardzo późno bo dopiero pierwsza godzina po północy. Nagle gdzieś w dali, czy też pod lasem przerwał ten spokój, zamącił tę ciszę przeraźliwy gwizd. Przez pola zarośnięte bujną trawą szedł ktoś postępując zwolna jakby się obawiał czy go kto nie widzi, aby się nie zdradził żadnem szelestem ciągle się rozglądał i nadśluchiwał. Ruszył się ciepły wietrzyk. Drzewa i wysokie brzozy poruszyły się, jakby już zaczynały odmawiać ranną modlitwę kłaniając się, szumiąc drobnymi listeczkami.

Moszko przechadzał się znów po izbie, jego myśli uleciały gdzieś w nieznane światy, błąkały się gdzieś po polach i łąkach, gdzieś bardzo daleko, był bardzo zadumany, chodząc wydawało się że śpi; nie słysząc nawet szelestu na podwórzu karczmy.

Na podwórzu miał niespodziewanego gościa jakiegoś nieznanomego, który zakradał się cicho i ostrożnie pod okna karczmy.

W tem Moszko widocznie, posłyszał szmer, gdyż go coś wstrząsało, nagle jakaś elektryczność przeleciała mu po jego ciele. Przebudziwszy się z zadumy posłyszał szmer pod oknem, mrówki po ciele mu przeleciały.

— Aj gwałd — ktoś tam jest? .. co to nowego? Zamruczał pod nosem, nie zrozumiałe.

Nieznanomy zaglądnąwszy już do okna, przekonał się, że niema nikogo w karczmie prócz żyda więc zapukał lekko w szybę okna.

— Kto tam?... zapytał Moszko, wyprostowawszy się nieco.

— Otworzyć!... to ja... legionista...

Odpowiedział mu głos wcale jeszcze nie znany.

Zalękniony Moszko, ledwie doszedł do drzwi aby je otworzyć, gdyż nogi jego nabrały jakiejś elektryczności i poczęły się trząść pod niem, dowlukłszy się do drzwi aby je otworzyć.

We drzwiach karczmy stanął silny mężczyzna, rozglądając się po izbie karczmy, jakby się czegoś obawiał, oczy oglądnęły każdy sprzęt znajdujący się we wnętrzu izby.

— Dobry wieczór!.

— Dobry!... niech będzie i tak... wycedziwszy przez zęby od niechcenia.

— Czy może macie co do zjedzenia?... zapytał nieznajomy.

— Ni!... odpowiedział krótko żyd.

— Przychodzę tu do was z prośbą, żebyście mi pokazali drogą, ale najbliższą do obozu najbliżej znajdującego się legionów, gdyż mam ważną sprawę do komendanta i zameldować mu dany mi rozkaz, Mów prędko!... gdyż nie mam czasu do stracenia!...

Moszko tak sobie mówił w myślach... jak on udaje, to jest przecież moskał taki dyabeł przebrany za polski legionista. On to pewnie że nie inaczy widział gdzieś zabity, albo może ranny i konający legonista i obrabował go z jego cały majątek, z jego mundur, ale jak on umie udawać, ny, ale ja Moszko, żyd, nie głupi, mam fein kepele i nie odparade.

Puknąwszy w czoło takie myśli mu przebiegły szybko w głowie, nareście odpowiedział mu.

— Ja nie znam żadne legionisty i ja to ich nie chcę znać, ja to się z nimi nie wdaje, bo nie mam czas na to, przecież ja mam karczma, to muszę karczma pilnować, ja z tego żyję. To musi być jakiś pomyłka. Ja to nie znam żadnego z legionisty. To oni też mają z taki ubranie... taki samy?...

Udając że nie wie w jakim mundurze chodzą legionieści zapytał nieznajomego wskazawszy na jego mundur.

— Tak.

Odpowiedział nieznajomy.

— Ny, to ja go nigdy nie widziałem jeszcze żadne wojsko z takim ubraniem i z takim czapkiem. Na co mi oni?... ja ich nie chcę znać, ja ich nie chcę na swoje oczy widzieć, żebym tak zdrów był. Ja to się ich bardzo boję, bo ich nie znam.

Tu zrobił giest godny politowanie

Trzeba także nadmienić że żyd miał słuszość, gdyż to był moskał przebrany za polskiego legionistę, idąc zapewne na jakieś zwiady szpiegostwa, napotkał w gęstwinie konającego z ran legionistę liczącego za ledwie osiemnasty rok życia, zciągnął z niego mundur, a sam się w niego przebrał, aby w ten sposób ułatwić sobie dostanie się gdzie zechce, będąc pewnym że nikt go nie pozna bo władza polskim językiem. Tym czasem sprytny żyd poznał w mundurze legionisty wroga. Moskał po chwili namysłu rzekł tak...

— No jeżeli nie znacie to trudno, muszę iść dalej i szukać gdzie indziej co dużo czasu zajmie... po tych słowach odszedł.

Tym czasem niebo już osłonęła czarna zasłona. W oponach mgły spoczywało wszystko. Świeży powiew porannego wiatru szedł, podrywał się dął, niosąc przez powietrzne koleje, przeróżne głosy. Słońce weszło promienną bryłą żaru. Świejące złoto mieszało się z drzewami i z wesołym szeptem opadały lśniące brylanty na tysiące pstrych owadów, te zrywały się z brzękiem i szelestem.

Zbudzone ptaki trzepotały skrzydłami obrzucając się miłosnym śpiewem i pieszczotą w powietrzu w lesie.

Po odejściu moskala, przekonawszy się Moszko, że już poszedł tak się chwalił sam przed sobą.

— Jak on mnie podchodził, ale ja nie głupi, ja polski żyd mam fein kepele i nie od parady. On chciał cobym ja wydał i jemu pokazał, gdzie jest nasz pan, legionisty, ale ja nie głupi... ja jak on tu przyszedł to go ja zaraz po niego poznałem, że to nie nasz żołnierz i nie nasz pan legionista.

Wychwalał się żyd w myślach.

Promienie słońca wdarły się przez okna do wnętrza karczmy i oświeciły ją jasno, gdyby nagle została oblaną czystym, lśniącym złotem.

— Jakoś mój Rywka nie widać... mówił żyd. — jak ja ją posłałem i kazałem iść jeszcze wczoraj w wieczór, to one go jeszcze do ten czas niema przecież ona tam za długo siedzi, już przecię dziewiąta w rano. Gdzie ona może być?... Może ona mi uciekła?... a waj — oj gwald!... co ja bym go zrobił sam?

Lamentował żyd nad sobą, przeczuwając coś nie dobrego... W tem na podwórzu zaturkotały koła wozu. To jego parobek powracał z wyprawy, odwoził on baryłeczkę i prowianty dla legionistów. Wnet Moszko podskoczył do okna zaglądając kto to przyjechał. Zobaczywszy Moszko, że to Jakób, bo tak było na imię parobczakowi zazaz go zaczął wołać.

— Jakób!... Jakób... chodzino tu prędko!...

— Zaroz... zaroz!... odpowiedział chłop ochrypłym ze starości głosem.

Wyprzągnął konie zaprowadził do stajni, dał im siana następnie zamknął drzwi stajni, na kłótkę.

Po chwili wszedł do izby średniego wzrostu chłop, stary, zgarbiony od starości, rysy jego twarzy świadczyły, że nie jedno złe przeszedł na świecie, liczył on już około siedemdziesiąt- kilka lat. Odziany w krótką spłowiałą, zdartą kurtkę, na nogach miał kierzce, a na głowie starą czapkę wypłowiałą już dobrze. Gdy ją zdjął, okazała się łysina świecąc do złotego słońca.

— Cegoz to kceta?... zapytał żyda.

— Idź na wsi i poszukaj mój Rywci i powiedz jej, że ja to jej już pozwoliłem i kazałem przyjść do domu ale zaraz, powiedz jej że mi się bardzo za jej... przykrzy.

Widzita go, com ino przyjechał i już mi koze kasik chodzić, już mie kasik wygania, jescie nawet nie wi kaj ona jest. Dyc jescem nawet śniadanie nie zjodł. Kto wi kaj ta żydówka posła?...

Wymyślał starowina.

— Co to jest... co za przezwiska?... ja ci płacę, za to dostaniesz jeść, jak ja ci każę iść to ty masz iść i koniec!...

Rozłoszczony żyd uderzył biednego staruszka w plecy.

— Za co mnie bijes żydzie... co?...

Doskoczywszy do niego. pchnął go tak silnie, że żyd oszołomiony zatoczył się w koło i upadł na podłogę, jak długi.

— Tak teraz zmirzój ją jako długo!...

Zadrwił sobie chłop.

— Aj waj... oj gwałd... on mi go już zabił... on

mi już wszystkie kiszki z brzucha wpuścił... on mi już rozbił mój wątrobe... on mi wszystkie żółć wylał!...

Krzyczał wykrzywiając się na wszystkie strony żyd.

— Widzisz teraz naukę na drugi raz, „żebyś na starego ręki nie podnosił.“

Prędko starowina rozniecił ogień w samowarze, który przyniósł zdaje się z komory na niedużym stoliczku, który do słońca zaświecił mosiężnymi bokami. Kipiący już samowar buchał zapamiętałe kłębami siwej pary, warczał, jak żyd przy rannej modlitwie, bulkotał podrygiwał aż drżały od jego ruchów gliniane garnuszki tulące się koło jego podstawki, i brzęczały stojące opodal miski porcelanowe z chlebem rybą masłem i serem. Milczała tylko ciężka gruba i silna cukierniczka mosiężna, czy też niklowa, pełna do wierzchu kawałków białego, jak śnieg, cukru błyszczący się od promieni słońca, jakby brylanty. Stary nalał sobie herbaty zjadł chleba z serem. Przyjemna woń świeżo zaparzonej herbaty rozchodziła się wraz z ciepłą parą po izbie. Kiedy starowina dobrze podjadł sobie przystąpił do Moszka leżącego jeszcze na podłodze, który nie wyspany w nocy, zasnął smacznie, nie wiedząc co się koło niego dzieje.

— Widzisz ty noszenie żydowskie. chociażem stary i nimom już siły, alem ci doł jeszcze rade. Wstawaj i pilnój karczmy, albo się zamknij, kiej kces spać, bo ja idę już sukac twoi Rywki.

Obudził żyda i prędko wymknął się z izby.

W karczmie panowała grobowa cisza, tylko Moszko,

od czasu do czasu wzdychał ciężko. Po chwili poruszył się prubując wstać. Wszystko go bolało, upadając na podłogę stłukł się bardzo.

— Aj gwałd on mi go już wszystkie kości pótłamał. Aj gwałd jak mi go wszystko boli.

Po chwili wstał i napił się świeżej herbaty, zjadłszy chleba kawałek z masłem. Po chwili coś chciał uwi-dzieć co robi się na podwórzu zaglądnął w okno i zaczął jojczuć...

— Oj gwałd... kozaki tu jadą.. aj waj.. oj gwałd... a Jakób pewnie już poszedł, co ja tu sam będzie zrobić?... oni mi zabijają... aj waj... gwałd... co ja mam zrobić.. ja sam nie dam im rady. Otworzył drzwi do sieni i zaczął wołać: Jakób... Jakób!... poszłiście już? niema go już... oj gwałd... to ja się będzie bardzo bać, oni mi ukradną.

Zamknął bramę na klucz, zasunął żelazną sztabę, także drzwi od izby zamknął i zaryglował. Namyślał się coś długo..

— Aha! już wiem co zrobię... mam nowe plan, ale skąd się to tak prędko w mojej głowa wzięło?... Ja to go już wiem, co go będzie zrobić... jak oni tu przyjdzie a będą chcieć wódka, to ja im dam bardzo silny i co będzie wódki to im dam. Potem jak oni będą chcieć jeszcze to powiem co nimam, powiem im że jak chcą to ja im przyniesie od mój szwagier, albo od mój brat, a ja jak będzie wychodzić to zamknę drzwi i bramę na klucz. Ja nie pójdę do mój brat, ani szwagier, bo go tu nie mam tylko do lasu do obozu legionisty, coby oni tu przyśli i łep im porznąć byli,

to ja, ich jeszcze będzie trzymać za włosy, albo za nogie, ja to nie mam żadnej litości nad nimi. Żebym mógł i siły tyle miał tobym ich tu wymłucił na taki kwaśne jabłko. Oj waj gwałd!... to oni już tu. Aj waj!.. kozaki już tu!... gdzie ja mam jaki nóż na tego dyabeł, na tego moskal pies! Aj gwałd!... ja go nie mam nic... ja się go bardzo boję... Aj waj gwałd!..

Szukał noża, ale nie znalazł, bo nóż wziął ze sobą Jakób. Na podwórzu słychać już ciężkie kroki moskali i powolne stąpanie koni.

Moszka jak zwykle przebiegła elektryczność po całym ciele i schował się szybko pod szynkwą.

Kozacy zaczęli się dobywać uwiązawszy sobie konie.

-- Ja się was boję, ja tu jestem sam, ani mi tu nie chodźcie, bo ja to się was może złęknieć i wszystkie kiszka z mojego brzuch może mi wiskoczyć ja to się już nawet trzęsie ze sam strachu przed wami. Zresztą ja nie mam teraz czasu, ja to sobie teraz po południe to już śpię pod szynkwą, już nawet chrapię czy mnie nie słyszycie?

Zaczął chrapać głośno udając że śpi.

Kozacy bezustanku pukali i dobywali się.

— Dajcie mi spokój, żydowi to ani teraz spać nie wolno bo mu nie dają spokój.

Kozacy wcale nie myśleli ustąpić, owszem jeszcze bardziej się dobijali.

— Otwieraj jęwej!!!... krzyknął moskiewski podficer... klnąc strasznie.

— Aj waj gwałd!... kto to jest znowu? co to za brewerye?... co to ma być?...

Tak mówił wychodząc z pod szynkwasu. Otworzył drzwi przecierając sobie oczy, udaje że spał.

Do izby wpadło dwónastu kozaków

Moszko pokłonił się nisko, drżąc na całym ciele.

— Dlaczego nie otwożyłeś zaraz, jak zaczęliśmy pukać?... pewnie tu się gdzie u ciebie „Sokoliki“ schowali?... hę?...

Krzyczał rosyjskim językiem podoficer.

— Jakób?... to ja tu nie mam nikogo, ja przecię spałem, tu byli u mnie w nocy też panowie oficerowie od panów i długo siedzieli ja nie spałem, to mi się zachciało spać i usnąłem.

Tłumaczył się Moszko.

— Wódka u tebija jest?... zapytał moskał uderzyw-szy nachajką w stół, aż szklanki zabrzęczały.

— Jest... jest... wielmożny panie oficer.. ale teraz ciężki czasy, lecz dla panów oficerów- kozaków zawsze się znajdzie odrobina... przychwalał im żyd.

— Tak podawaj!... rozkazał kozak.

Moszko podał im z całą baryłką wódkę.

Kozacy zaczęli chciwie pić kubkami glinianymi.

— Szwarz jur, szwarz jur... byleśmy się tylko nie spuźnili, to adamaj pobije was chamany, jak samson filistynów przeklętych. — Tak mruczał sobie pod nosem Moszko.

— Dawaj jeszcze wódki!...

Krzyknął głośno moskał. Moszko mając jeszcze wódkę dał im i tę, ale to był ostatek.

Kozacy w jednej chwili wypróżnili drugą baryłeczkę. Już byli dobrze popici, gdyż nawet nie zauważyli jak i kiedy im Moszko zabrał ich rewolwery i amunicję, zostawił im tylko długie piki.

— Daj jeszcze wódki!!!... krzyknęli moskale.

— Skąd ja mam dać, jak niemam już, ani kropelki?... mówił żyd, pod którym już trzęsły się nogi.

— Ach ty jewrej pogański synu!... a dla buntowszczyków, „Sokolików“ masz jej poddostatkiem!.. krzyczał podoficer kozacki.

— Jakim buntowszczykom, jakim Sokolikom? oni ci (draby) po lasach siedzą. oni to nawet do wsi nie zagląдают i już tu nie przychodzą, ani nie zagląдают tylko sam śnieg jedzą, a wodę piją. Aj waj!!.. oni to boją się panów kozaków, ale nie zawsze, jak kiedy...

— Kozacy zaczęli się śmiać. Jeden z nich, który dobrze sobie wódki podpił leżał już na podłodze obok stołu, drugi silniejszy będąc jeszcze przy nieco lepszym rozumie położył się na ławie pod ścianą.

Udajesz jewrej, lecz nic ci to nie pomoże .. mówił nieco spokojniej kozak.

Wtem ich rozmowę zakłucił jakiś straszny chuk, oto jeden z nich siedział, obok stołu drzemiąc, a był także już dobrze podchmielony i on to spadł ze stołka uderzając silnie głową o podłogę, jego koledzy popatrzeni tylko na niego i zaczęli dalej swoją rozmowę z żydem. Temu który upadł ze stołka zaczęła ciec ciemno- czerwona krew z głowy, widocznie bardzo się uderzył, że aż zranił sobie głowę.

— Powiedziałem ci jeśli wódki nie będzie wszej czas tak my ci czerwonego koguta na dach puscimy.

— Słyszałeś żydzie?.. zapytał inny.

— Panie oficerze, kiedy ja naprawdę nie mam wódki w domu, lecz jest ona u mój szwagier Aron i u mój brat Lajbuś, to jest nie bardzo daleko w tyj pierwsza wsi, chałup kilkanaście, skoczę chyba i przyprzyniosę. Ja przyniosę dobry i silny wódka, panowie oficerowie napiją się wódki, a potem pójdą spać, ja z góry przyniesę słoma, albo -- siano i bedzie git... ny czy nie będzie dobrze?... ny to ja go już idzie po wódki.

Żyd wyszedł zamknął drzwi na rygiel i na klucz. Poszedł szybko w stronę lasu.

Dzień się miał ku zachodowi Słońce powoli, misternie w warkocz nocy włosy wiło. Pozostawiając za sobą krwawe ślady. Powietrze było czyste i przyjemne. Zbliżała się macocha. gdyż na noc chwycił tęgi mróz. Ziemia, którą słońce przez dzień ogrzało ostygła już całkiem i zaczęła kostnieć powoli.

Kozacy tym czasem gospodarowali się po całej karczmie, wszystko zprzewracali. Słowem co było zrównali, nawet flaszki porozbijali. Nie było kąta w którymby nie był nos kozacki.

— No sakra, jak nie przyniesie wódki to ja mu pierwszy w łep wypalę, a tę oto budę karzę wysadzić w powietrze, on utrzymuje z tymi buntowszczykami, z tymi Sokolikami.

Wygrażał podoficer moskiewski.

II.

Moszko wyszedłszy z karczmy biegł szybko do lasu co tylko sił mu starczyło, po drodze utykając na kamieniach i korzeniach drzew, nie jeden raz się przewrócił.

Słońce oblało pola swemi promieniami, jakby jasną, lśniąca krwią.

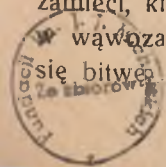
Wtem z lewej strony od lasu wyjechało dwóch jeźdźców. Wreszcie stanęli na urwisku skąd mogli dobrze obserwować okolicę. Jednym jeźdźcem był kozak. Rozglądając się poznał po chmurach nizko osiadłych na skrętach gór, oblanych promieniami ginącego słońca, jakby złota, po kołysaniu się drzew i wierzchołków modrzewi w dole, że ciężka go jeszcze czeka przeprawa.

— Czyby nie skrócić do sadyby... tu blisko kusił drugi, który był przewodnikiem.

— Ale! głupis

Zsadził przewodnika z konia, który był lepszy niż jego, rzeczy mu zostawił i pognął na łepna szyje.

A w dolinie zrywała się jedna z tych jesiennych zamieci, kiedy zdawać się mogło, że wszystkie wichry, wąwozach kryły, zlatwały tu na nowo rozpoczynając się bitwą. Z początku wypadł jeden i pomknął nad



oziebiającą się równiną, trąbiąc zwycięzko i otrząsając z drzew oschłe już liście. Ale nie dobiegł połowy, gdy z lasu wyskoczył drugi, wżarł się w jego ciało, zmiął go. skręcił i przeplecione poleciały razem z rykiem i szamotaniem. Już zawładnęły całą prawie doliną, już dobiegały przeciw ległym gór, gdy stamtąd biegł trzeci obaliwszy tamte z rykiem, gwizdem, wołaniem kásając i tłukąc się po łbach. Las trzeszczał i płaszczył się pod ich cielskami jak wątle sitowie. Wąwozy i urwiska wyły a schwywane obłoki wrzały, jak ukrop, to wznosiły się padały mieszając się z kurzawą.

Gdy ta wściekła, zwichrzona fala uderzyła w kozaka, koń pod nim jęknął zachwiał się, a on sam zrobił, znak krzyża trzy razy Wkrótce stracił pojęcie. gdzie jest i w którą stronę jechać powinien. Odchylił sobie z twarzy futrzany fartuch kaptura i badał okolicą a koniom czyścił starannie zatłkane liśćmi i gałązeczkami nozdrza o wystawione kopyto. Koń chęrczał węszył drogę a kozak się modlił mknął szybko naprzód. Po kilku godzinnem biegu dojechał do wioski zniszczonej już cokolwiek. Tu postanowił kozak rozkwaterować się.

Moszko увидziawszy jadącego kozaka schował się w krzakach aby go nie widział. Obserwując go gdzie jedzie, kiedy mu już znikł całkiem z oczu wyszedł ze swej kryjówki. Przewodnik, który pokazał drogę kozakowi, także się już dawno nawrócił do domu. Teraz był już nasz Moszko prawie całkiem bezpieczny. Zimny wiatr szczypał go w oczy, rzucając piaskiem, liśćmi i odłamkami z drzew. Już wchodził do lasu, drzewa jakby go witały pochyliły się dumnie ku niemu. Idąc

nie zauważył pnia drzewa, na którym utykając przewrócił się. Po chwili stanął zdyszany w obozie legionistów! Wszyscy po drodze witali go uprzejmie. Straż nie robiły mu żadnych trudności, gdyż wszyscy go już znali. Po chwili zaprowadzono go do podoficera pełniącego służbę, który go zaprowadził do komendanta. A Moszko opowiedział co zrobił z moskałami w karczmie.

— Panie Oficer komendant oni są go już w mój karczma, ja to ich zamknąłem na klucz w mój dom chodźmy tam prędko, coby oni mi nie uciekli. — Już było dobrze po północy. Komendant wydał zaraz odpowiedni rozkaz. W jednej chwili było pięciu ludzi gotowych do odmarszu, którymi Moszko przewodził.

III.

Kozacy, którzy pozostali w karczmie niecierpliwili się długą nieobecnością Moszka.

Ten który pozostał na warcie usnął już i spał twardo. Legioniści podszli spokojnie, Moszko zabrał mu karabin, a legioniści odciągnęli go na bok związawszy mu ręce i nogi aby im nie uciekł.

Kozacy usłyszawszy tak głośne szmery, zaglądnęli do okna i ujrzeli legionistów na podwórzu którzy już zabrali się do uprzągnięcia ich rzeczy i koni.

— Oj te „buntowszczyki“ tu już są. Mikołaja już związali i wsio zabirajut.

Widząc to moskale chwycili za broń, chcąc cibiegnąć do legionistów na podwórze, lecz niestety drzwi są zamknięte. Chcą strzelać do legionistów będących jeszcze na polu także i to się nie udało, bo nie było naboji gdyż Moszko je zabrał.

— O „Sokoliki“
.
. zaczęli kozacy kląć strasznemi słowami aż człowiekowi nie przyzwyczajonemu do takich przekleństw, włosy stawały na głowie.

— Tak ich nie weźniemy tych psów, bo oni się nie poddadzą, zresztą naco nam ich?.. za co im mamy

jeść dawać?... Karczma mocna z dębowe drzewo, podpalić ją musimy razem z niemi.

Mówił żyd.

— Jakto?... przecież tam cały wasz majątek?... wszystko co tylko macie?...

Perswadował Moszkowi komendant patroli.

— Nic, to nic, przecież i wy wszystko dla Ojczyzny poświęciliście, nie tylko wasze mienie, ale nawet i zdrowie. Oto... Ja już to przedtem przewidziałem że trzeba będzie zapalić to wszystkie pieniądze zabrałem.,. oto chubka podpaliłbym sam, lecz dziś piątek i szabas, a religia nasza ogień — w szabas rozniecać zabrania. Ny to zapalcie!... Zapalcie niech się spalą te psy moskiewskie, niech się upieką.

Krzyczał zły żyd.

— Jej Bohu!... oni nas chcą spalić, oj już się karczma pali. Szwarc jur... jęwej!... puść nas!..

— Tak, tak krzyczcie teraz, już więcej nie będziecie ludzi strasz yli co wy im puścicie czerwony kogut na dach!...

Śmiał się z nich Moszko.

Zapalili karczmę oblawszy naftą z czterech rogów i wnet buchnęła gęstym płomieniem, który ją czule objął w swe miłe uściski.

Noc znikła; zastąpiły ją dwie zorze: wieczorna i poranna, następujące po sobie niezwłocznie jak rozmachy skrzydeł lecącego ptaka. Miały one u horyzontu w koło nimb cudny kolor różowego tumanu, a na zenicie rozsiane gwiazdy. Mniejsze ruczaje zupełnie milkły od chłodu, a większe miarkowały swój łaskot.

Ptactwo chowało się wśród oczeretów i tylko z cicha rozbrzmiewały senne krakania wron na urwiskach lub z odległych jezior ptasząt śpiew.

Ze wschodem słońca niby ktoś po strunach uderzył; wszystko zrywało się do wrzącego rozchukanego życia. Na ziemi srebrne strumienia wody poczęły wydawać z siebie kłębiącą się parę. Obudzone ptactwo zrywało się, śpiewało przez pamięć na długą zimę naszałeć do syta, nacierpieć nakochać. Drżące, łagodne podmuchy nawiewały z południa coraz nowe, nieprzebrane pułki pierzastych, powietrze pełne ich było trwożnie lecących jak garście liści, tchnieniem niewidzialnej burzy. Mimo to każdy gatunek zachowywał szyk odmienny i odmienny polot. Białe łabędzie ciężko leciały jeden za drugim podobne do sznurów dużych pereł. Kaczki dzikie to zwijały się ruchliwym, niespokojnym kołem, niby różaniec potężną ręką ciśnięty w błękity, to leciały zbitą, szumną płaską łowicą. Drobne ptactwo mknęło zwichrzonymi rojami bez ładu naczelników. Niebem za nimi płynęły pieszczone kędzierzawe chmurki, miodem pachnące opary. Lśnił się aksamit murawy, modrzewie pokrywały się złotozielonym woniejącym puchem.

W miejscu karczmy został tylko popiół. Powietrze, było nie miłe, przepełnione jakimś niemiłym zapachem. Kozacy spalili się w karczmie.

Legioniści mieli znów jednego jeńca, trzynaście koni i mnóstwo innych rzeczy. Zabierali się do odmarszu.

— Ny a co go ja teraz zrobię?

Mówił żyd popatrzwszy na spaloną karczmę.

— Wiecie.. co nie macie gdzie iść?

— Ny... odpowiedział żyd.

— Więc wstąpcie w nasze szeregi. Zostaniecie polskim legionistą. Dobrze?...

Zapytał się go podoficer.

Moszko namyślał się chwilę. Wreszcie rzekł więc dobrze ja pójdę z wami i zostanie legionistom, jak ja nie spotkam się z mój żona, co się nazywa, Rywci.

— Więc chodźmy.

Powódź płytkiej białej mgły zalewała łąkę. Drzewa, krzewy, stogi, wystrzelały zeń, niby ciemne wyspy, a w dali pas lasu czerniał, niby brzeg. Nad Mgłą wisiały przejrzyste obszary zimnego, wysrebronego brzaskiem powietrza, zamknięte szafirową kopułą nieba z kruszynami pobladyłych gwiazd. Wschód rozpalał się szkarłatną zorzą ozłocistem podbiciu. Ale blask jego jeszcze mało gdzie przeniknął. Na górach, po wądołach i jarach tuliły się szare resztki nocy, przedmioty nie rzucały jeszcze cienia i okolica leżała bez wdzięku i ruchu, niby istota, budząca się ze snu, która już oczy szeroko otwarła, ale której nie opuściły jeszcze senne marzenia.

Drogą szli i biegli przybliżając się do lasu legioniści z końmi, Moszkiem i moskalem. Broń i cały rynsztunek żołnierzy, dobrze dopasowane do ciał, nie ruszały się, nie brzęczały, więc posuwali się cicho, jak widma. Czasem w jeziorze obok, którego szli w ciemnej głębi zapalał się cały snop iskier chyżo uchodzącego stada spłoszonych kaczek. Wtem ich oczom ukazał się straszny widok. Moszko uwidziawszy to przewrócił się

na ziemię, byłby wpadł w wodę. Gdyż na brzegu jeziora leżała kupa mięsa nakrytego, jakimiś łachmanami. Była to żydówka żona Moszka. Teraz im kozak opowiedział kto ją zabił, że tymi sprawcami byli spaleni kozacy. Jadąc spotkali ją zrobili co się im podobało..... i jeszcze piką każdy z nich dał jej pocałunek na pożegnanie.

— Aj waj gwałd!... już to się stało co ona mnie mówiła... oj gwałd!... to ja go temu wszystko winien. Rozpaczał opuszczony żyd.

— Więc cóż Moszko?... zapytał podoficer.

— Ny, no ja go pójdę z wami.

Szli dalej, gęste, sękate krzewy górskie wody wypełniały dno wąwozu, a spadziste boki porastał wysoki modrzewiowy las.

Wkrótce stanęli w obozie, Moszka zaprowadzili przed komendanta który chętnie przyjął go w szeregi żołnierza polskiego.

Tak został „Moszko legionistą.“

Do późnej nocy bawili się i śpiewali nad rzeką, legionieści. Głosy ich, to pojedyncze i rozsiane, to chóralne, zrzeszone i gwarne mieszały się z pluskiem rzeki, z traskiem ognia, z szmerem lasów i płynęły tu do naszej drogiej matki — ojczyzny. Kiedy mieli się udać na spoczynek nocny zanucili jeszcze...

Hej strzelcy wraz nad nami Orzeł biały.

A przeciw nam śmiertelny stoi wróg...

Moszko został legionistą otrzymał mundur, karabin i cały rynsztunek.

W jednym dniu został „Moszko legionistą.“

Był w nie jednej bitwie, był dobrym i odważnym żołnierzem już później nawet został odznaczonym medalem srebrnym pierwszej klasy.

Tak z „Moszka legionisty“ zrobił się dobry żołnierz.

K O N I E C .

„SOKOLIKI“.

NOWELKA.

Zawsze w lesie dawało się słyszeć lekkie szumienie, jakby szmer czy szept tajemniczy, ale tak miarowy, tak poważny, tak uroczysty, jak brzmienie umiejętnie nastrojonej lutni, czy też arfy colskiej, tak było cicho, smutno, łagodnie i tęskno, jak pieśń bez słów, jak zdławione siłą rozpaczliwe łkanie.

Szumiał las świerkowy, nie tknięty dotąd jeszcze ani siekierą, ani piłą rębacza. Wysokie świerki, jodły i modrzewie ze srebrnymi i różnokolorowymi pniami stały jak mur, tylko ich wierzchołki i korony zielone tworzyły rodzaj olbrzymiego sklepienia nad całą leśną przestrzenią.

Dołem panowała cisza powietrza, przesiąkniętego zapachem żywicy; na ziemi, to jest na samym gruncie stanowiącym tarczę lasu, a osianym igłami szpilkowych drzew, rosły wysokie paprocie, wspaniale przedstawiały się swemi liśćmi w kształcie wielkich wachlarzy, wyciętych w misterne rysunki i wycięcia. Na miejscach bagnistych rosła bujna trawa. Biała koniczynka zniżala swe łodygi, jakby znużone, ku ziemi. Górą zaś, samym szczytem lasu, płynęły tajemnicze szmery, jak tęskne westchnienie, bo rzeczywiście z pewnego oddalenia wydawało się, jakby las szumiał smętnie, jęklonie i coraz [bólesniej](http://cin.org.pl).

Jakby i ten las odczuwał niedostatek, jakby czuł nieszczęścia wojny.

Szliśmy właśnie drogą wśród lasu, jakkolwiek nie mogliśmy dostrzedz błękitu nieba przez zbite gęstwiny. Już było dosyć późno.

Tu i owdzie przedzierały się jeszcze promienie zachodzącego słońca, ale krwawe odbicie się ich w gęstwinie, w liściach i karłowatych krzakach zapowiadało zbliżający się wieczór.

Na zachodzie grupa ciemnych ołowianej barwy chmur, była niewątpliwą oznaką, że wkrótce, może wśród nocy, rozszałe się burza z gwałtowną ulewą.

Szło nas ośmiu.

Co chwila ślizgaliśmy się po wystających na drodze korzeniach.

Szliśmy oddaleni co sześć kroków odległości jeden od drugiego.

Nagle zaszczekał gdzieś niedaleko pies. Między drzewami, które tworzyły wyjście z polany, ukazał się mały domek. Niebieskawe obłoczki dymu, wydobywającego się z komina, płynęły swobodnie w powietrze aż pod szczyty wierzchołków drzew, wytwarzając niewielki obłoczek, jakby drogowskaz dla podróżnych, że oto w pobliżu czeka na nich zaciszny zakątek.

Po chwili spostrzegliśmy całą do połowy zniszczoną chatę chłopską. Zdawała się wyrastać z ziemi, gdy smukłe wysokie jodły dumnie unosiły głowy, aż pod błękit nieba

Z okna chaty wyglądał jakiś stary mężczyzna, na jego licach rysowała się bojaźń...

My po kilkogodzinnej drodze, byliśmy już zmęczeni, przeto musieliśmy na chwilę odpocząć. Zbliżyliśmy się do okna, prosząc o wpuszczenie do wnętrza chaty, która była zamkniętą.

Starzec, bał się, po chwili otworzył, trzęsąc się ze strachu.

Myśmy go uspokoili.

Teraz rozłożyliśmy się w dosyć obszernej izbie kazaliśmy wzniecić staremu ogień, na którym zagrzaaliśmy sobie konserwy, mając ich poddostatkiem. Jedząc, daliśmy i jemu.

Chłop mówił rosyjskim językiem.

— Kto panowie jesteście?... gdyż „awstryjcy“ mają inne czapki — zagadnął stary.

Odpowiedzieliśmy mu:

— My jesteśmy polskiem wojskiem. Nazywają nas... legionistami, a wasi zwą nas „sokolikami“ lub „buntowszczykami“.

Stary usłyszawszy ostatnie nasze słowa, otrzęsło go coś ze strachu...

— Słyszałem ja o was — odrzekł stary.

Brzeżek ciemnej chmury ukazał się nad wierzchołkami drzew i zwolna przesunął się w stronę leśnej łąki. Gałęzie drzew poruszyły się, jakby skutkiem przeciągu wiatru i szmer leśny zachuczał jakimś głuchym akordem.

Starzec słuchał, podniósłszy głowę do góry,

— Nadciąga burza — rzekł po chwili. — Pan lasu zacznie swoje figle i psoty.

Myśmy tymczasem podjedli sobie do syta i spakowali swe rzeczy z powrotem, a następnie ruszyli w dalszą drogę, celem dokładnego zbadania okolicy.

Już wieczór rozciągnął swą ciemną oponę nad milczącą, uśpioną ziemią.

Szliśmy ciągle lasem. Minęło kilka godzin, a końca lasu nie było.

Rozejrzawszy się należycie, narazie nie zauważyliśmy nic podejrzanego, lub godnego uwagi.

Podoficer prowadzący patrol, postanowił przejść do końca lasu, aby jeszcze zbadać dokładnie okolicę leśną.

— Jesteśmy już dwadzieścia cztery godzin na patroli, możemy zabawić jeszcze drugie tyle, a bez niczego nie mam ochoty wracać... Prowiantów mamy jeszcze pod dostatkiem.

Nie zatrzymując się długo, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nie wiedząc, czy niema kogo w lesie przed nami, szliśmy wolnym krokiem, aby nie szeleścić i jeżeliby ktoś był przed nami, aby nas nie zauważył.

W gęstwinie coś zaszeleściło.

Podoficer zarządził uwagę i kazał stać w miejscu, schowawszy się za drzewo.

— Broń w pogotowiu!... — a sam nadsłuchiwał, co się w koło dzieje.

W tem między krzakami przesunęło się całkiem

swobodnie kilkanaście postaci, przesunęli się w przeciwną stronę, jakby nas nie zauważyli.

Szli sobie całkiem swobodnie, jakby byli pewni, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Z rozmowy poznaliśmy, że są to Moskale.

Padł rozkaz:

— Padnij!...

I zaczęliśmy na czworakach czołgać się naprzód powoli... obserwując ruchy nieprzyjaciela. Po kilku minutach czołgania się za nimi, odpoczęliśmy sobie na chwilę, uważając, gdzie oni idą.

Po chwili doszli do niewielkiej polany, gdzie porozumieli się między sobą, złożyli rynsztunek, usiadnąwszy sobie.

Myśmy tymczasem posuwali się do nich, czołgając się w koło...

Nasi panowie widocznie czuli się bezpiecznymi, gdyż nawet ogień sobie rozpalili, grzejąc coś do jedzenia. Przypatrywaliśmy się im przez dłuższy czas, gdyż nie chcieliśmy im przeszkadzać, aby oni sobie podjedli i wódki się napili, gdyż narazie było jeszcze za wczesu, abyśmy się przybliżyli do nich.

Noc była pogodna, miliony gwiazd migotało na firmamencie nieba. Księżyc uśmiechał się tylko do nas, jakby i on cieszył się, że nam znów przybędzie kilkunastu Moskali, oświecał jasno polanę, tak, że mogliśmy obserwować każdy ich ruch.

Moskale tymczasem podjedli sobie, z pewnością i wódki popili, gdyż dwóch zaczęło się nawet sprze-
czać. Po chwili ucichło wszystko, nad nimi unosił się

twardy sen. Tylko jeden jeszcze przechodził się, widocznie on miał czuwać, ale i ten podchmielony, oszatomiony wódką, upuścił karabin na ziemię, a sam położył się i zasnął snem twardym.

My zaś korzystając z najlepszej sposobności, zbliżaliśmy się prędko, lecz cicho, jak kot do myszy.

W jednej chwili byliśmy przy nich, otaczając w koło. Karabiny i wszelką broń i co tylko się koło nich znajdowało, podnosiliśmy na bok od nich. Kiedy wszystko należycie i czysto posprzątaaliśmy, zabraliśmy się do budzenia naszych panów, gdyż już za długo spali.

Gdzieś w gąszczu ozwał się słodki śpiew słowika.

Słońce się już ze snu przebudziło, znacząc niebo swemi ruchami.

Ciemności nocne prędko gdzieś znikają.

— Wstawać!... a nie spać, „awstryjcy“ niedaleko, „Sokoliki“ już są tu.

Temi słowy powitaliśmy naszych nowych kolegów.

Nasi koledzy przebudziwszy się, kiedy zobaczyli nas, pozrywali się na równe nogi, rozglądając się za swemi karabinami, ale niestety, tych już dawno nie mieli... Jeden z nich, widocznie ich komendant, przy skoczył do tego, który miał stać na warcie i począstował go, uderzając kilka razy po obu policzkach.

— Masz za twą służbę, żebyś nie ty, nie zabrali by nas!

Uderzył go jeszcze kilka razy, kopnął na przy-
czynek, aby nie był za mało. Opozłapił do nas.

— Tak sobie nas weźcie. Macie szczęście, bo gdybyście nas nie zabrali, byłoby jutro bardzo źle z wami.

Uformował ich jeszcze.

Było ich osiemdziesięciu.

Szliśmy szybko.

Po sześciogodzinnej drodze, stanęliśmy przed naszym komendantem.

Komendant dowiedziawszy się, jakim sposobem zabraliśmy mochów, podał wszystkim do odznaczenia.

Zarządziwszy zbiórkę, wszyscy zaczęli krzyżeć:

— Niech żyją „Sokoliki!“

.
Przybyły nam znowu jeńce...
Bo gdy mochów nas ujrzeli —
Do góry swe ręce wzniesli —
Krzyżąc: pardon „Sokoliki!“
Poddało się moc moskali...
Legioniści znów weseli —
Gdyż nad nimi Orzeł Biały lśni...
Ten nasz drogi znak...
„Orzeł Biały ptak!“

KONIEC

NA POZYCYI
LEGIONÓW

Na pozycji Legionów, w lipcu 916.

Mgła rozłożyła się na bagnistych łąkach i odłogiem leżących zagonach Polesia — silnym płaszczem otulając świat. Pierwsze zorze świtu, nieuchwytnie i blado się rysujące na horyzoncie, z trudem torują sobie drogę ku ziemi przez mgliste opony. Gwiazdy świeciły jeszcze ale ich blask zbladł już pod technieniem trwożliwie wychylającej się z za łąsów jutrzni. Był to właśnie ten okres nocny, w którym odbywa się tajemniczy proces zmagania się nocy z dniem, ciemności z jasnością. Lekki wietrzyk powiewał od wschodu i niósł z sobą chłód wczesnego wołyńskiego poranku.

Była to zaledwie trzecia godzina rano — dnia siódmego lipca. Właśnie kompania dwunasta 6-go pułku Legionów opuściła wieś M. i maszerowała ku miejscowości G.

Stanowiliśmy arjengardę odwrotu, szliśmy ostatni z naszych wojsk — za nami już tylko Rosyanie. Przed nami powlokły się już całe kolumny trenowe, przemaszeraowały oddziały różnego rodzaju broni, artylerya. piechota i część kawaleryi. Nam przypadł obowiązek

kryć tyły linii odwrotowej, powstrzymywać napór jazdy rosyjskiej, która ostro ścigając — była ciągle tuż tuż za nami.

Mieliśmy przejść przez długą, widoczną, w części bagnistą równinę, na której ani drzew, ani żadnej zasłony nie było. Daleko za równiną majaczyły wzgórza, które dać już mogły pewne oparcie i ochronę. Komendant kompanii, porucznik Ruckeman Wilhelm, nakazał specjalną ostrożność. Przyspieszyliśmy kroku, aby przejść szybko przez mostek, wzniesiony przez rzeczkę, wijącą się w poprzek równiny.

Zbliżyliśmy się do mostku na odległość kilkudziesięciu kroków, gdy w tem na lewo od nas rozległy się dzikie okrzyki: „hurra!“

Patrzymy... a tam cała sotnia kozacka w pełnym rozpędzonym galopie, mknie wzdłuż rzeki ku nam, aby zająć mostek i odciąć nam drogę odwrotu.

Nigdy dotąd nie widzieliśmy podobnej szarży kawaleryi. Równa z początku ława jeźdźców poczęła łamać się naprzód, gorsze zostawały w tyle — wytworzyła się zygzakowata linia szarżujących. Zdawało się, że niema mocy, któraby rozpętaną kawaleryę powstrzymać zdołała. Błyskawicznie zaczęła się zmniejszać odległość między nimi a nami. Na 600 kroków od nas wzniesli okrzyk „hurra!“ — obecnie są już tylko o kroków 400.

Ale i my nie próżnujemy. Wiedzieliśmy, co mamy robić — była straż przednia kompanii i straż tylna. Komendant straży przedniej, chorąży Pumidajski, zabez-

piecza czoło naszej kompanii, komendant straży tylnej, chorąży Hild, dba troskliwie o nasze tyły

— Do reduty kompanii! — pada spokojny głos komendanta. — Kompania w lewo zwrot!... Ognia!...

Karabiny plunęły pociskami ze stali.

Jako jeden z pierwszych pada komendant sotni kozackiej, oficer siedzący na pięknym białym koniu, z wyciągniętą szablą. Osuwają się z koni poszczególni jeźdźcy, przerażone rumaki z dzikiem rzeniem zawracają i uciekają z pola śmierci, a kompania nasza daje wciąż salwę, bez wypoczynku i wytchnienia.

Już niema zygzakowatej linii szarżujących. Są tylko oderwane grupki lub poszczególni jeźdźcy.

Oszołomione zwierzęta, trwogą przejęci ludzie. Zwał trupów... Konie całym swoim ciężarem waliły się na ziemię i wydawały ostatnie tchnienia życia z cichym rzęzeniem. Na nich... obok nich... konwulsyjnie wyciągnięte zwłoki kozackie, w drgawkach przedśmiertelnych, pazurami targające trawę, wdzierające się w szczeliny ziemi... Resztki rozbitej sotni widzą, że nie dojdą, więc nawracają i w dzikim popłochu mkną tam, skąd przyszły.

Kompania posyła im wciąż salwy za salwą. Początkowo nerwowe trochę strzały — przemieniły się w spokojną, miarową strzelaninę, jak na ćwiczeniach. Żołnierz legionowy odzyskał cały spokój i zapanował nad sobą. Widocznie powodzenie w walce z sotnią rozhukaną, zatartło w zupełności przykre uczucia, jakie żywi żołnierz, będący w odwrocie.

Kozacy do nas nie doszli. Raczej doszedł — jeden. Poniósł go przerażony koń w bok, a stamtąd na drogę w środek kompanii w gwałtownym biegu Fenomen. Przez środek kompanii przejechał i zdążył wymknąć się na drugą stronę drogi i zbiedz. W bitwie zdarzają się i takie niespodzianki.

Trwała ta walka nie dłużej nad 20 minut i sotni kozackiej nie było, przestała istnieć. Kompania mogła pogratulować sobie ładnego sukcesu. Był też na nas najwyższy czas, aby uporać się z kozakami z lewej strony, bo oto z prawej flanki i od tyłu nowa pojawiła się kawalerya rosyjska.

Było jaśniej — zauważyliśmy ją na znaczną odległość. Legioniści, świeżem upojeni zwycięstwem, zwrócili ku nowemu wrogowi lufy karabinów. Poczęła padać stal kul na pędzące oddziały. I ci do nas nie doszli w odległości 400—600 kroków poczęli się cofać i pomknęli w tył, ku wsi przez nas opuszczonej, pogrążonej we mgle.

Kompania mogła spokojnie posuwać się naprzód i obrachować straty własne. Strat nie było żadnych. Zaginęli tylko gdzieś bez wieści chorąży Stawiarski i legionista Kaufer i legionista, będący na straży tylnej. Nie mogliśmy ich na prędcie odszukać, musieliśmy zaś maszerować dalej, bo czas naglił i niebezpiecznie było zostać dłużej na odsłoniętej równinie.

Żołnierze, dowcipkując i weseląc się, maszerowali szparko. Nowy duch wstąpił w szeregi. W pół godziny niespełna przeszliśmy równinę zdradliwą i weszliśmy na wzgórze, za któremi rozłożyła się pustą

i jak wszystkie osady po tamtej stronie Stochodu — wieś G. Za pasmem wzgórz byliśmy pewniejsi: Odpoczęła kompania. posypały się rozmowy o rozbitej sotni kozackiej.

Jeden niezapomniany widok utkwiał nam długo w pamięci: obraz kozackiego oddziału, pędzącego pełnym galopem i zataczającego śliczny łuk na polanie, by następnie zbiedz wzdłuż rzeczutki. A potem pomieszane wrażenia bitewne — ucieczka bezładna resztek odważnego oddziału.

Tak przestała istnieć sotnia 1-go pułku archangielskich kozaków, rozbita przez 12-tą kompanię 6-go pułku piechoty Legionów Polskich.

W dzieje bojowe 6-go pułku wplotła 12-ta kompania nową świetlaną kartę.

K O N I E C.



INSTITUT
BADAŃ I KULTURY PAN
BIBLIOTEKA
ul. Nowy Świat 22
<http://rcin.org.pl>

F

22.366